All communications must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.
565 Noble St.
CHICAGO, ILL.

J. F. SMULSKI I Sp.
wydawcy.



Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.00 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Pokwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 23go WRZEŚNIA 1897 ROKU. **Nr. 38.**

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter. Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. — Czwartek 23 Września, Linusa. Piątek 24 Września, Gerarda b. Sobota 25 Września, Kleofasa Niedziela 26 Września, Cypryan. Poniedziałek 27 Września, Kosmy i D. Wtorek 28 Września, Wacława. Sroda 29 Września, Michała ar.

Na Niedzielę XVI. po Zielonych Świątkach.

Ewangielia św. Łukasza w rozdziale XIV.

W on czas: Gdy Jezus wszedł do domu jednego przedniejszego Faryzeusza w szabat jeść chleb, a oni Go uważali. A oto, człowiek niektóry opuchły był przed nim. A Jezus odpowiadając, rzekł do biegłych w zakonie i Faryzeuszów, mówiąc: Godzili się w szabat uzdrawiać? Lecz oni milczeli. A on ująwszy, uzdrowił go i odprawił. A odpowiadając rzekł do nich: Którego z was osieł, albo wół wpadnie w studnię; ażali nie wnet go wyciągnie w dzień sobotni? A nie mogli mu na to odpowiedzieć. I powiedział też podobieństwo do zaproszonych, przypatrując się, jako pierwsze siedzenia obierali, mówiąc do nich: Gdy będziesz wezwan na gody, nie siadajże na pierwszem miejscu, aby znać znaczniejszy nad cię nie był wezwan od niego, a przyszedłszy ten, który ciebie i onego wezwał, nie rzekł ci: Daj temu miejsce: a tedybyś ze wstydem począł siedzieć na ostatniem miejscu. A gdy będziesz wezwan, idź, usiądź na pośledniem miejscu, aby gdy przyjdzie ten, który cię wezwał, rzekł tobie: Przyjacielu! posiądź się wyżej. Tedy będzie tobie chwała przed wspołem siedzącymi. Bo wszelki co się wynosi, zniżon będzie, a kto się uniża, wywyższon będzie.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

Szanuj włos siwy,
Będziesz szczęśliwy!

Daleko od Ojczyzny.

POWIEŚĆ.

Dokończenie.

VII.

Kapitan codziennie jeździł na oazę, nie brał jednak Mary, mimo jej prośb usilnych. Tłumaczył się tem, że na wyspie musiał umieścić kogoś ze świeżo przybyłych kryminalistów. Dziewczę dąsało się, musiało jednak uledz. Kapitan nie chciał, ażeby jego przybrana córka widziała Pollego, który na wszystkich przykre robił wrażenie.

— Gdy wyzdrowieje, dopiero tam moją Mary zawiozę; myślał sobie i coraz większej nabierał pewności, słysząc wyrazy Pollego i pieśni dziewczęcia, że oboje z jednego kraju pochodzą.

Polly tymczasem prędko przyszedł do siebie; był jednak ponury, zamyślony, zdawało się, że zapomniał po angielsku, bo z nikim nie chciał rozmawiać. Raz tylko, rzekł, jakby z wyrzutem do kapitana:

— Pocoście mnie uratowali!

I znowu zamilkł, a raczej rozmawiał z sobą językiem dla nikogo niezrozumiałym, lub siadał nad morzem i wpatrywał się w nie milcząco. Wszyscy zwali go obłąkanym, kapitan tylko nieszczęśliwym.

I znowu życie płynęło jak dawniej. Mary zagniewana, że jej nigdy nie chciano zabrać na oazę, już nie nalegała o to więcej.

Przybył też i Harry w tym czasie i wkrótce został narzeczonym sieroty.

Mary oprowadzając wszędzie ukochanego przypomniała sobie o zielonej wyspie, którą Bitens czasami nazwał jej dziedzictwem. Nalegała więc znowu, aby ją tam zabrano, żeby i Harry zobaczył oazę.

Nic piękniejszego pewnie w życiu nie widziałeś! — zapewniała. Lecz Harry wtajemniczony we wszystko, zwierzył się jej, że ojciec urządza im niespodziankę.

-- Wszakże Mary nie pojedzie tam bez Harrego? — mówił, patrząc jej w oczy.

Dziewczę podniosło główkę, spojrzało tym wzrokiem, w którym Harry widział swoje szczęście, i rzekło:

— Wszakże Harry ma być moim mężem, muszę więc przyzwyczajać się do słuchania jego żądań. Misyonarz mówi, że żona powinna być posłuszną mężowi.

— Ale misyonarz także naucza, że niewiasta porzuci ojca i matkę i pójdzie za mężem — odparł Harry.

— Ojca... matkę? — powtórzyła Mary. — Matka moja tam głęboko, pod falami oceanu, a ojciec... może szuka mnie po całym świecie. Opiekunem moim jest twój ojciec, on chce naszego szczęścia... Ale — rzekła weselej — ty Harry, musisz przyrzec, że zastąpisz mi ojca, matkę... wszystkich, wszystkich!

— Wszystkich ci zastąpię, wszystkich najdroższa, — przyrzekł młodzieniec.

— I powieziesz mnie do Europy, tam daleko za ocean?... I nie pozwolisz, żebym była jak dotąd sierotą?

— Nie, nie; przyrzekam ci to Mary moja!

— I powieziesz tam, gdzie pieśni takie śpiewają, jakie ja umiem, i jeszcze piękniejsze?

— Wszędzie, wszędzie, gdzie tylko zażądasz.

— I ojca odszukasz, — nawpół przymknąwszy oczy, mówiła powoli, jakby mrucząc, dziewczyna.

— Wszystko uczynię, co będzie w mojej mocy, aby tylko Mary była szczęśliwą, — przyrzekał.

VIII.

A na wyspie, Bitens, widząc, że Polly jakiś rzeźwiejszy, usiłował z nim rozpocząć rozmowę.

— Co się z tobą działo? czemuś nas nie odwiedzał? możebyśmy co poradzili na twoje nieszczęście?

Polly wstrząsnął głową i odrzekł:

— Nikt mi już nie poradzi! — i wyjąwszy list, opatrzony wieloma pieczęciami, położył go przed kapitanem.

Bitens czytał adres, siląc się nad złożeniem spółgłosek w nazwisku.

— Ach, prawda, wszakże ty nie zrozumiesz, co tam w liście napisano, bo nie znasz mowy naszej, zawołał gorączkowo Polly. Doniesiono mi, że żona moja otrzymawszy mój list z Sydney, zabrała córkę, która przyszła na świat po moim wyjeździe, i udała się do Francyi, ażeby ztamtąd do mnie się dostać, jest to wiadomość konsula francuzkiego, sam ją przeczytasz; dodał, podając list kapitanowi. Bitens przeczytał nazwisko kobiety i jej córki, które na okręcie płynącym do Australii opuściły Francyą; okręt rozbił się, załogę z małym wyjątkiem uratowano.

Bitens drgnął na tę wiadomość.

— Cóż więc dla mnie pozostało! — zawołał Polly, — nic, żadnej nadziei! Nieszczęśliwy załamał dłonie i jęk przeciągły wyrwał mu się z piersi.

Bitens zapadł także w zamyślenie, ocknął się jednak wkrótce.

— Nie trać, przyjacielu, otuchy—rzekł

kładąc rękę na ramieniu Pollego. — Czasami, gdy nam się zdaje, że burza okręt roztrzaska, wiatr się nagle odwróci i ucichną bałwany.

Polly nic nie odpowiedział, wstrząsnął tylko głową, a to był jedyny znak, że słyszał Bitensa; słowa jednak nie można już było z niego wydobyć. Kapitan zostawił go nieraz w spokoju, lecz w kilka dni powrócił.

— Mam do ciebie wielką prośbę—rzekł Bitens na powitanie.

Polly podniósł wzrok na niego.

— Mam tutaj papiery, który dostały mi się dziwnym sposobem; nie umiem ich przeczytać.

Polly słuchał obojętnie.

Bitens rozwinął arkusze zżółkłego papieru i położył je przed nieszczęśliwym. Wzrok jego padł na pismo; chwycił papier, przybliżył go do oczu, wpił w niego wzrok nagle ożywiony, ręce mu drzeć zaczęły; czytał szeroko nakreślone wyrazy, przebiegł je raz jeszcze od początku do końca i, chwytając ręce kapitana, zawołał:

— Gdzie one — gdzie? Na miłość Boga powiedz, gdzie moja żona i córka!

— Uspokój się przyjacielu — mówił kapitan — widzisz, że jest już nadzieja!

— To akt mego ślubu i akt urodzenia mojej córki; mówił Polly na wpół obłąkany, tocząc wzrokiem błędnym dokoła.

— Uspokój się; dowiesz się zaraz, córka twoja jest w bezpiecznem miejscu.

Wtem zdala ozwał się głos melodyjny.

Mary, uzyskawszy pozwolenie kapitana, poraz pierwszy z Harrym na oazę przybyła.

Przez mgłę poranną słońce przedzierało się, morze szumiało a jakby ucieszone złotemi promieniami słońca, wygładzało swoję powierzchnią. Woń przyjemna, wilgotna, unosiła się w powietrzu; zieloność oazy nęciła szmaragdowemi blaskami; chciało się gwałtem żyć.

Mary, idąc obok narzeczonego, cieszyła się wrażeniem, jakiego doznawał; nie mówili nic, lecz uściskiem dłoni i wzrokiem wypowiadali sobie starą jak ludzkość balladę, choć zawsze jako wiosna świeżą.

Po chwili milczenia, Mary nucić zaczęła jednę z tych znanych tylko sobie melodyi. Z początku nuciła bez słów przyciszonym tonem, potem coraz głośniej:

„Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze...”

Polly chwilkę słuchał, jakby echa z odległej strony, przecierał oczy, jakby wzrokiem chciał poznać dźwięki, co mu się do duszy wdzierały.... Głos Mary brzmiał coraz donośniej:

„Wielu snem śmierci popadło,
Co się wczoraj spać pokładło,
My się jeszcze obudzili...”

— „My się jeszcze obudzili” — powtórzył Polly, stanął jak wryty, wyciągnął przed siebie ręce i zawołał:

— Moja córka! a potem padł omdlały na ziemię.

Mary nie dosłyszała wyrazów, lecz przestała śpiewać i wraz z Harrym pospieszyła do nieszczęśliwego.

— To właśnie ów obcy — rzekł kapitan — o którym ci opowiadałem.

Mary spojrzała bojaźliwie na leżącego; długa broda, wychudzona twarz i błędne oczy, uparcie na nią zwrócone, przestraszały dziewczynę. Wkrótce jednak ochłonęła z przykrego wrażenia a przypomniawszy sobie opowiadanie kapitana, że Polly śpiewał pieśni podobne do tych, jakie ona umiała, zbliżyła się i położyła dłoń na jego czole.

— Harry, przynieś wody, ocucimy nieszczęśliwego.

Polly otworzył oczy, uśmiech błogi przebiegł po jego zsiniałych ustach, podniósł głowę, wyciągnął dłoń i uchwycił rękę dziewczęcia. Usiłował się podnieść, lecz sił mu zabrakło, zawołał tylko powtórnie:

— Moja córka! Gdzie matka!... gdzie żona moja?

Z temi słowami głowa mu na piersi opadła, i w niemym bólu ręce zacisnął na piersiach. Po chwili usta jego zaczęły się poruszać szeptem, coraz głośniej wymawiając wyrazy, lecz nikt ich nie rozumiał. Mary, wpatrując się w nieznajomego powtarzała za nim słowa, i nagle krzyknęła:

— Ojcze! — a po chwili dodała — matki już nie mam!

Polly wyciągnął do niej ręce i błagał:

— Śpiewaj, śpiewaj... ja śnić będę, że jestem w niebie... tam, gdzie twoja matka!

SWIĘTY EUSTACHIUSZ.

Dramat historyczny w pięciu odsłonach.

Przełożył na polskie Ks. J. Gieburowski, C. R.

Dokończenie.

Lukan (*podczas śpiewu do Akacyusza i Antyochiusza*): Będziecie straż trzymali przy skrępowanych! A wy (*do reszty żołnierzy*) prowadźcie na śmierć wprzód Agapiusza! (*Żołnierze prowadzą Agapiusza a na ich czele postępuje Lukan. Zostają na scenie tylko Eustachiusz, żona jego, Teopist, Antyochiusz i Akacyusz*).

Akacyusz (*nachylając się do Eustachiusza*). Panie, my rozetniemy wam więzy; chcecie? (*trzymając w pogotowiu miecz*).

Antyochiusz. Utorujemy wam drogę do ucieczki!... Włos z głowy wam nie spadnie!

Eustachiusz. Ach! dziękuję wam za wasze dobre serce — ale nic to nie pomoże, bo pochwycą nas. Po drugie, my chętnie umieramy, bo umieramy za świętą sprawę: za honor.... Jezusa, który jest Bogiem prawdziwym i Zbawicielem naszym.... Za szczęście poczytujemy sobie, iż uczynił nas godnymi cierpieć dla Imienia Jego.

Akacyusz. To ten Jezus, o którym mówiłeś Panie, jest Bogiem prawdziwym? ... a nasz Jowisz?

Eustachiusz. Wasz Jowisz, Akacyuszu, jest tylko poczwarą, ręką ludzką wyrobioną z drzewa — jest płodem wyobraźni ludzkiej. Zaś Jezus jest Bogiem prawdziwym, Wszechmocnym, który tak nas ukochał, iż się stał człowiekiem i umarł na krzyżu w Jerozolimie dla naszego zbawienia.

Antyochiusz (*chwytając się oburącz za głowę*). Bóg stał się człowiekiem!.... co mówisz!.... i umarł na krzyżu?

Akacyusz (*mocno zdziwiony*). I dla naszego zbawienia umarł?

Eustachiusz. Tak jest — i tę prawdę stwierdzam dzisiaj moją krwią.

Akacyusz. A dla jakiego to zbawienia naszego umarł Jezus?

Eustachiusz (*ze wzruszeniem*). Dla zbawienia od wiecznej śmierci — umarł, abyśmy żyli — cierpiał wiele, abyśmy byli szczęśliwymi — był pogardzony i poniżony, abyśmy byli wyniesieni do najwyższej godności dzieci Bożych.

Akacyusz (*z natężoną ciekawością*). Więc i za mnie umarł Jezus?

Eustachiusz. Tak jest, mój Akacyuszu!

Akacyusz. Abym żył wiecznie?

Eustachiusz. Tak.

Akacyusz. Abym był szczęśliwy na wieki?

Eustachiusz. Tak jest.

Akacyusz. Więc gdyby Jezus za mnie nie umarł i nie cierpiał, nie byłbym szczęśliwym — nie żyłbym — nie byłbym ukochanem dzieckiem Boga?

Eustachiusz. Byłbyś wygnańcem tutaj na tym świecie i na drugim — po śmierci doczesnej umierałbyś wiecznie — byłbyś dzieckiem złego ducha. Słuchaj co mówi

Jezus w swoich naukach: "Kto wierzy we mnie, ten będzie miał żywot wieczny." — "Jam jest droga, prawda i żywot." — "Jam jest światłość świata, kto chodzi za mną, nie chodzi w ciemnościach."

Akacyusz (*do Eustachiusza*). Panie, czemuś mi przedtem o Jezusie nic nie mówił — przebyłem z tobą tak długą podróż z Egiptu tutaj do Rzymu a nic mi o Nim nie wspomniałeś ani słówkiem. Służyłem ci wiernie w wojsku przez długie lata — byłeś mi przyjacielem, bratem, ojcem, a jednak chciałeś, i mogłeś chcieć okrutnie, abym chodził w ciemnościach pogańskich?.. Tyś był szczęśliwy, boś czcił Jezusa, boś Mu służył, boś Go kochał.... a ja?.... ja czciłem marnego Jowisza, to bożyszcze urobione rękami ludzkiemi — ja poczwarze służyłem przez tak długie lata! O!!.... ja.... nieszczęsny!.... Ty, Panie, kochając Jezusa i służąc Mu, miałeś ztąd wielkie pożytki, bo ten Jezus odwzajemniał ci się miłością, obsypywał ciebie łaskami, dawał żywot wieczny, szczęście niebieskie i różne czynił obietnice — a ja!.... o zgrozo!.... o zgrozo!.... wstydzę się wyznać!.... kochając owo tam bożyszcze, (*wskazując na posąg*) nic z niego nie miałem, nic, nic! bo cóż takie bożyszcze może dać?... natomiast ciężko bluźniłem Jezusowi, który jest prawdziwym Bogiem, popadłem w Jego niełaski, zasłużyłem sobie na karę wiecznej śmierci— a to jest strasznem, niepojętem — i na to pracowałem przez lat dziesiątki!!!.... (*stoi z wlepionemi w ziemię oczyma*).

Antyochiusz (*który podczas monologu Akacyusza załzawione oczy chustką zakrywał, bokiem cokolwiek odwrócony, teraz zdejmuje chustkę od twarzy i mówi*): Akacyuszu, czegóż rozpaczasz? tu nie ma czego rozpaczać, tylko porzucimy pogaństwo a służmy Jezusowi. Takiemu Panu warto służyć.

Akacyusz. Antyochiuszu, za takiego Pana ja życie kładę — dzisiaj jeszcze — razem z moim panem! (*rzuca się w objęcia skrępowanemu Eustachiuszowi*).

Antyochiusz. I ja także! (*rzuca się w objęcia Eustachiuszowi na ziemię*).... Za takiego Pana jak Jezus warto dać życie.... (*powstaje*). Ale czy Jezus odpuści nam grzech bałwochwalstwa?

Akacyusz (*powstając*). Śmierć nasza męczeńska będzie przebłaganiem za ten grzech.

Eustachiusz. Nie tylko przebłaganiem — ale zadatkiem pójścia wprost do nieba.

Akacyusz i Antyochiusz (*wznosząc ręce i oczy ku niebu*). Pójdziemy do nieba!.... wprost do nieba!.... do tego Pana, który jest naszym Zbawicielem, który nas kocha, który za nas życie poniósł w ofierze!

Akacyusz (*pełen niezmiernego zapału*). Ach! umierać — umierać!.... czemprędzej umierać! (*potem z wolna obracając się, patrzy z iskrzącymi oczyma na posąg i mówi*): Tę poczwarę, która tylu bluźnierstw była przyczyną (*rzucając się całym impetem na posąg mówi*): porąbię na kawałki! (*wywraca posąg Jowisza i rąbie mieczem razem z Antyochiuszem. W tem wchodzi Lukan z żołnierzami i stając nagle mówi*):

Lukan (*przerażony*). Co ja widzę?... Jowisza znieważyliście!... Szaleńcy!...

Akacyusz (*depcąc nogami kawałki posągu*). To wasz bóg — moim Bogiem prawdziwym, Wszechmocnym, który stworzył niebo i ziemię — jest Jezus Chrystus! (*i patrzy Lukanowi wyzywająco w oczy*).

Lukan (*dobyczając miecza*). Skrępować ich!

Akacyusz (*rzucając miecz na ziemię*). Krępujcie mnie, i rzućcie razem z moim dowódzcą dzikim bestyom na pożarcie (*żołnierze krępują*).

Antyochiusz. Krępujcie mnie! bierzcie na tortury; rozrywajcie kołami kości moje; rzućcie chociaż tygrysom na pożarcie; wszystkie męczarnie chętnie poniosę, aby

przebłagać Jezusa, iż nie Jemu, jako Bogu prawdziwemu, ale bałwanowi Jowiszowi się kłaniałem! (*żołnierze krępują*).

LUKAN (*do żołnierzy*). Odprowadzić ich do więzienia! (*żołnierze odprowadzają*).... A ty (*do Eustachiusza z miną mściwą*) będziesz smażył się w kotle, rozumiesz!.... W Agapiusza jakiś zły duch wstąpił, że go lwy nie chciały tykać — pewno wy wszyscy takie czarodziejskie sztuki potraficie!... Ale z wrzącego olejem kotła wydostać się nie potraficie.... (*do Teopisty*). A ty — jak tobie na sercu?.... hę? Będziesz się smażyła w kotle we wrzącym oleju! jak twój syn Agapiusz. Kiedy go wrzucono do kotła wzywał pomocy waszego Boga, a krzyczał a wołał! — ale jakoś ten Bóg wasz nie potrafił mu przyjść w pomoc.

TEOPISTA (*słodko się śmiejąc*). Bogu dzięki, że wytrwał.

LUKAN. Przeklętnica!... (*w tem wchodzą żołnierze — a Lukan do nich*): Brać tę przeklętnicę tam! (*wskazując na Teopistę*).

TEOPISTA (*w chwili kiedy ją prowadzą żołnierze*). Synu mój!.... Mężu mój!.... ja się z wami żegnać nie będę, bo będziemy się widzieli za chwilę małą w chwale niebieskiej.... Tylko odwagi i wytrwałości.

LUKAN (*nie posiadając się ze złości i tupnąwszy silnie nogą, uderza ją pięścią w plecy i mówi*): Milcz!... (*kiedy żołnierze znikli z Teopistą mówi do Eustachiusza*): No, ty szlachcicu — panie — wielki dowódzco! .... ha! ha! ha! (*i kopie go i szarpie i znęca się*).... Gdybyś był tam w Egipcie orał pługiem, a nie przyjechałbyś tutaj po laury — ha! ha! ha! — byłbyś lepiej na tem wyszedł!

EUSTACHIUSZ (*z anielską cierpliwością i oczami wzniesionemi ku niebu*). O Jezu! przyjmij mnie do chwały Twej!....

LUKAN (*kopiąc go*). Milcz!....

EUSTACHIUSZ. Jezu odpuść mu, bo nie wie co czyni. Oświeć go i spraw, aby miał żywot wieczny!

LUKAN. A to przeklętnik!.... milcz powiadam ci, bo cię tym mieczem posiekam na kawałki! (*W tem wchodzą żołnierze a Lukan wydaje rozkazy*): Brać ich!.... (*Żołnierze prowadzą Eustachiusza i Teopista na śmierć — za nimi postępuje Lukan — a każdy z obu skazańców modli się, mówiąc:*)

EUSTACHIUSZ i TEOPIST. O Jezu przyjm nas do chwały Twej.

MĘCZENNICY CHIŃSCY.

Przez **ks. A. W.**

Ciąg dalszy.

V.

Po kilkunastu tygodniach znów wszystkich więźniów stawiono przed sędzią. Nie szczędzono próśb i gróźb, obietnic i szyderstw, aby tylko przełamać ich postanowienie i stałość. Stali mocno jak skała i opoka w morzu. Dzikie bałwany o nie się rozbijają, — góry lodu o nie roztrzaskują, nie zabierając jej z sobą, a o jej gromkie wierzchołki okręty się druzgotają. — Chodziło przedewszystkiem o to Mandarynowi, aby Michał Mi, będąc królewskim urzędnikiem a do tego powszechnie poważanym, od wiary odpadł; bo spodziewał się, że przez to zyska łaskę i wysokie względy u króla, że zostanie Nadmandarynem. Ale Michał nie zachwiał się, owszem stałość jego zmężniała i podobien do żołnierza, którego męstwo w miarę gorącej bójki rośnie i coraz to odważniej na nieprzyjaciela naciera — Stał nieustraszony — niezłomny. Wykonano więc znowu na nim okropną krwawą egzekucyą. Ale gdy na Antoniego Dich'a ta sama kolej przyjść miała i gdy go oprawcy brali, wtedy rzuca się, krwią wskutek ran zbro-

czony zięć im do nóg błagając: ,,Miejcie litość nad jego siwizną, wystawcie sobie, że to wasz Ojciec. Pomnijcie, że on był Ojcem wdów i sierót, że żył sprawiedliwie, że nie ma na nim żadnej plamy i skazy. Pozwólcie, że ja za niego razy odbiorę''. Tak mówiąc, oddaje się po drugi raz siepaczom zasłaniając sobą Ojca przed zbirami.

Teraz Mandaryn rzekł poważnie i uroczyście: ,,Po raz ostatni wzywam was. Oto! to krzyż — to miecz; zdepcie krzyż, a oszczędzi was miecz. Wybierajcież tedy".

Na to Michał podnosząc miecz i krzyż z podłogi, rzecze: ,,Tu macie miecz, a nam zostawcie krzyż. Nie pod nogami, ale pod sercem miejsce dla niego. Miecz na karki nasze, a krzyż na serca nasze! Miecz dla was, a krzyż dla nas! Tu miecz i krzyż pospołem, a tam obok krzyża — palma". Tak mówił przyciskając krzyż do piersi. ,,Przy tym krzyżu", mówił dalej zachwycony, przysięgamy Ci, o ukrzyżowany Jezu, że pozostaniemy Tobie wiernymi. Ty umarłeś za nas, my umrzem dla Ciebie".

A gdy Mandaryn chciał krzyż z rąk jego wyrwać, pochwycił go Michał jeszcze mocniej lewą, a drugą bronił przystępu sędziemu wołając: ,,Kto śmie się bezkarnie zbliżyć do lwicy po lwięta? Kto rzuci się pod brzuch rozjuszonego słonia, nie bojąc się kopyt i trąby jego?"

Na to rzekł kapłan z powagą: „Pamiętaj o tem, bracie, żeś uczniem łagodnego Jezusa i zważ, że zwierzchność masz przed sobą".

„Dziękuję ci, odpowie Michał, że mi przypominasz moje obowiązki. Czcić zwierzchność jest obowiązkiem chrześcianina; ja szanuję was, waszą godność, bo ona od Boga; ale rozkazom waszym w tym razie nie mogę być posłuszny, bo są przeciwne najwyższym prawom, najwyższej władzy, najwyższej zwierzchności. Darujcie! — I w tym względzie muszę przejść próbę, bym był oczyszczon z wielu mych przywar".

A gdy go po powtórnem daremnem zawezwaniu, aby znieważył krzyż, uchwyciło dwóch żołnierzy gwałtem ciągnąc do niego, wtedy oparł się jak olbrzym silnym ramionom — rzuca na ziemię, a nie chcąc znieważyć znaku zbawienia podnosi krzyż, otula swą szatą jak drogi klejnot i rzewnie całuje.

Kapłana i starca już nie sponiewierano, bo Mandaryn był tego zdania, że Jakób Nam, którego dla jego łagodności szanował i na chwilkę się nie zachwieje, a łagodniejsze się obejście ze starcem może albo rozkaz Nadmandaryna, albo też pieniądze synów Antoniego Dicha spowodowały.

— ,,A więc umierajcie, rzekł Mandaryn, jeźli tak chcecie! Ruszajcie do więzienia, z którego nie prędzej, aż w dzień egzekucyi wyjdziecie!"

Wszyscy odeśli z pogodnem czołem, weseli, Mandaryn pozostawszy sam jeden tak się rozwodzi:

,,Już po mnie, jestem pokonany. Nie czeka mnie nagroda, dziś jestem zamiast bliższy celu — daleko od niego — od życzeń moich. Dziwna to ta wiara w Ukrzyżowanego, która słabym śmiertelnikom tyle męstwa udziela! Czyżbym to ja ponosił tyle męczeństwa, uginał kark dla miłości Buddy? — Pięknie to brzmi, a podobne do chrześcian religii, co Sakia żąda — umysł wstrzymać od światowości, jako znikomych Szemów, jak od snów parnej nocy, pięknie to, wzgardzić węzły ziemskimi a przez cnotę się ubóstwiać, aby powrócić do najwyższej Istoty, co jedyną jest prawdą; ale któż to potrafi? Złoto tak powabne, uciechy tak słodkie, honory i dostojności tak miłe, a używanie świata tego tak nęci i rozwesela! Człowiek w kajdanach, do ziemi już przykuty, Bóg je tylko rozwiązać zdoła — a jednak

ci mężowie już je zerwali, dziwna to rzecz! cudowna!"

Obecni zaś żołnierze tego wszystkiego świadkami będąc, tak mówili. ,,Że mężowie ze Zachodu bez jęku męki znoszą i z uśmiechem umierają; to nas nie dziwi, bo nie mają tego ciała, ani tej krwi co my; ale że Mi, z naszego pokolenia, w tym względzie im równy, to nas bardzo zadziwia".

— ,,Gdyby role inaczej rozdzielone były, szepnął jeden drugiemu, a Mandaryn na miejscu czcigodnego Mi, toby mi się lepiej podobało. Mi jest chodzącą rzetelnością, czysty jak złoto — a Mandaryn?....

— ,,A ja myślę, że bryły złota Antoniego Dicha będą ich wybawcami".

,,Rozumie się, że to sluszne powody dla Mandaryna, któreby i najsumienniejszy sędzia rad posiadał w swej szkatule".

— ,,To tylko słuszna zapłata za ich krnąbrność i upór."

— ,,Braciszku! nie pojmujesz tych ludzi, ty tylko znasz prawidła, które ci bambusowa trzcina wbiła w twą mozgownicę".

— ,,To szaleńcy — fanatycy, — zagorzalcy, mówili inni, religia, która takiej siły udziela, musi być darem pana Niebieskiego. Mi zapewne po śmierci zostanie Thanem — będzie Aniołem stróżem swej gminy".

VI.

Skuty i po całem ciele ranami okryty siedział Michał w samotnem więzieniu, nie mogąc długo, długo wskutek ran i bólu zasnąć. Właśnie myślal o swej rodzinie i modlił się za nią, aby po śmierci jego nie zmarniała. Gdy natura wreszcie domagając się swych praw po długiem czuwaniu, bo dotąd rany nie pozwoliły mu zasnąć, skleiła mu powieki i zasnął głęboko. We śnie widział bladą, wynędzniałą, chorą żonę na lichem podartem posłaniu szmatami okrytą; widział jak córka podawała jej drewniane naczynie z wodą, które w gorączce co tchu do dna wychyliła. Zmarłe niemowlę leżało tuż obok chorej. Dwaj drudzy malce, istne obrazy nędzy i politowania, otaczały konającą mówiąc: ,,matko daj trochę ryżu, żebyśmy z głodu nie pomarli!" Dwóch zaś dzikich mężów z trzciną bambusową wpadło do chaty, by wypędzić z niej mieszkańców. Na ten widok wstrząsł się konwulsyjnie Michał, kajdany zabrzękły..... ocucił się.... i zawołał: ,,Ojcze wdów i sierot, spraw to miłościwie, niech ten sen się nie spełni".

— W tem wchodzi Michała małżonka z czerstwą dzieciną na ręku.

,,Witam Cię, Michale — rzekła — ty chlubo i zaszczycie dziatek moich. Ziemia podziwia twe męztwo, a niebo wpisuje czyny twoje w księgi żywota. Bądź pozdrowiony dzielny wojowniku! Zwyciężyłeś, a teraz jesteś w zaszczytnem więzieniu. Przychodzę rany twoje opatrzyć i otrzeć pot z czoła twego, w gorącej wylany walce i oczyścić twe szaty z kurzu, co w krwawej je zaległ potyczce. Wszak prawda, że bój był krwawy i straszny?"

— ,,Witam cię droga niewiasto, odpowiedział małżonek, witam cię tak mówiącą. Pan Jezus ulżył mi w walce; rany w jego bitwach nabyte bynajmniej nie bolą. Jesteś walną bohaterką, witam Cię!" Tak mówiąc podał jej rękę, a niemowlę przytulił do serca.

,,Jak się ma nasza dziatwa? Czy smutna, że ojca w domu nie ma?" zapytał dalej Michał.

,,Wszystko zdrowe i cieszy się, że ma ojca — bohatera. Każe cię pozdrowić prosząc zarazem ze mną, abyś nie puszczał z rąk korony, którą już dzierzysz. One godne takiego ojca", odpowiedziała matka.

,,Ach błogo i slodko mi, że moi takiego są zdania. To najlepszy balsam na moje rany, bo jeśliby jeszcze co do tego życia mnie wiązać miało, to chyba tylko kłopot i piecza o was".



,,Zrzuć ten kamień z serca. Nie kłopoc się o nas. Jestem młoda i krzepka, pracować potrafię. Bogatych mam krewnych, co nas nie opuszczą. Nasze dzieci dorastają, jak piękne młode drzewka, kiedyś skąpić owocu nie będą dla matki. Wychowam ich na chrześcian, jak nas ci dobrzy Ojcowie ze Zachodu nauczyli, a ty z lubością spoglądać będziesz na nich z Nieba. — A choć ciałem będziem rozłączeni, to miłość twa jednak z nami zawsze pozostanie. A jeźli rąk twych zabraknie, to twa modlitwa towarzyszyć nam będzie. A jeźli już nie będzie ciebie u nas — to będziesz u Odwiecznego, na którego oblicze spoglądać i dla nas miłosierdzia błagać będziesz".

— Słowa te rozpromieniły twarz małżonka. Teraz szlachetna żona opatrzyła mu rany, tamując nie jedno westchnienie w sercu, nie jednę łzę w oku.

— ,,Ale, droga, nie będziesz rozpaczała, gdy się uczujesz samotną, osieroconą?" Zapytał mile Michał.

,,Mam w Bogu nadzieję, rzecze wielkiego serca małżonka nieco się zajękując, że Ten Ojciec niebieski dopomoże mi i tę najdroższą ponieść ofiarę".

A dalej mówiła krzepiąc się na duchu: ,,udaję się często do Matki Bolesnej, stawam pod krzyżem Jej Syna, a zdaje mi się, jakoby On miłościwie na mnie spoglądał i szukał drugiego Jana, któremuby mnie poruczył".

— ,,A więc ostatni kłopot spadł z serca mego. Żono, słowa twoje brzmią jak slodka harmonia, jak pienia słowika lub hymn kapłanów w domu bożym. — Ty niweczysz wszelki kłopot. Teraz mi droższą i milszą jesteś, niż w dniu zaręczyn, gdy mi rodzic twój rękę podał, gdyś stała obok mnie w wiośnie życia twego, gdy cię jedwabie i pierścienie z drogiemi kamieńmi zdobiły. — Bądź zdrowa! Miecz przetnie węzeł małżeński, ale by węzeł miłości przeciąć, na to za tępy. Zobaczym się w piękniejszych stronach gdzie niema ni dybów, ni knuta, kajdan — ni miecza — i to nie za długo! Wychowuj dziatki nasze dla nieba — tam znów wszyscy mieszkać będziemy. Bądź zdrowa!"

,,Z zupełną rezygnacyą ściskając mu dłoń odpowie czuła i wierna małżonka: ,,Bądź zdrów — w niebie się zobaczym!"

Michał uściskał jeszcze raz niemowlę, pobłogosławił je i oddał matce. Ta zaś prędko się oddala a będąc po za bramą siada na kamieniu i tu dopiero rzewne łzy leje. Potem odwiedziła ojca, dodawała mu otuchy, osuszyła łzy, ucałowała ręce i otrzymała jego błogosławieństwo.

Ciąg dalszy nastąpi.

KSIĄDZ JEST!

(Urywek z powieści Rodziewiczówny.)

Służący wszedł do pokoju ośnieżony, zdyszany i zawołał:

— Ksiądz jest.... widziałem go!

— Gdzie? jakiego? kiedy? porwali się wszyscy.

— Ksiądz nasz. Widziałem w Kurhanie. Może dwa dni zabawi, bo dalej jedzie, gdzie przeznaczony. Więc zawróciłem konie i pędem gnałem. Nawet nic nie jadłem. Obecni spojrzeli po sobie z radością a sędziwy gospodarz rzekł:

— Kto ma jakie Sakramenta do odbycia, niech się spieszy.

Marya szepnęła:

— Muszę iść na wieś. Nie jedni my tu przecie tęsknimy za modlitwą, mszą świętą, sakramentami, czekają wszyscy biedni mieszkańcy i tu osiedleni, trzeba im dać znać.

— Ja pójdę, — orzekł Antoni. — Najszczęśliwszy, poniosę im wieść szczęśliwą.

Przez śpiącą, cichą wieś krok się roz-

legł spieszny. Do niektórych chat człowiek zachodził, w okiennice pukał mocno, budził stroskanych, biednych, smutnych. Senne, powolne głosy pytały.... Co tam? a głos silny odpowiedział:

— Ksiądz jest! ksiądz jest!....

I wnet w chacie błysło światło, sen odlatywał z powiek, ciężkość z serc.

— O Jezu! ksiądz.... ksiądz jest! — odzywały się głosy męzkie, kobiece, dziecinne!....

A krok rozlegał się dalej ulicą, niosąc dobrą wieść.

Po chatach zapalały się światła, ruch się czynił, ujadały psy, skrzypiały wrota stajen, ludzie przemykali się po ulicy.

— Słyszycie? Ksiądz jest w Kurhanie?

— Józef! żywo sanie wyciągać!

— Maryniu! a dziecko dobrze w pierzynę otul!

— Stary! a nie pal fajki przed spowiedzią.

— Kazik! okrzątnij się do ślubu. Ojcowską obrączkę zdejm z obrazka.

— Czem my księdza obdarzymy?

— Dla kaleki Skotnickiej, żeby święconej wody nie zapomnąć.

— Jest ksiądz! ksiądz jest!.... tak powtarzają głosy po wsi i suną sanki po śniegu skrzypiącym....

Przed pocztową stacyą, gdzie ksiądz się zatrzymał, ścisk był jak na jarmarku. W stancyi dusili się ludzie. Niesiono małe dzieci do chrztu, dopominał się każdy spowiedzi, dziesięć par czekało na ślub, a każdy do księdza się cisnął i płakał i na mszę św. grosz dawał i różne prośby składał. Ksiądz podróżą wyczerpany chwiał się na nogach, to bladł, to czerwieniał, ale siłą woli się trzymał. A spieszyć się trzeba było, bardzo spieszyć. Zresztą ludzie cierpliwi byli. Odbywszy spowiedź, szli w kąt, modląc się głośno. Czekali do wieczora na Komunię św., ale odejść nie chcieli. Czekali też cierpliwie nowożeńcy, wszyscy skupieni, poważni, nawet dzieci przy chrztach nie krzyczały głośno!....

Drugiego dnia, gdy parę godzin czasu zostawało tylko księdzu, na śluby kolej przyszła. Nie było zapowiedzi, nie było i orszaków. Jedne po drugich przystępowały pary, niektórzy i obrączek nie mieli i jąkali się w odpowiedzi. Zakładano już konie, gdy ksiądz żegnać ich począł i błogosławił krzyżem. A wreszcie wychodząc do sani, co na niego czekały, błogosławieństwo Chrystusowe odmawiał i odmawiał wciąż odjeżdżając, oddalając się, niknąc. Tłum pozostał ścigając go wzrokiem, uchem, wreszcie w myśli... nie jedni płakali.

Tak to w Syberyi, w cichej wiosce, wita lud księdza, gdy zjawi się na dzień — dwa dni... Tak to tam wygnańcy posieleńcy, tułacze cisną się i garną do dłoni kapłańskiej, by odebrać błogosławieństwo w Imię Boże!...

Jajko Kolumba.

Pewnego razu gdy Kolumb wróciwszy z Ameryki znajdował się na uczcie, w toku rozmowy o odkryciu nowego świata zauważył jeden z uczestników, że odkrycia Ameryki do żadnych nadzwyczajnych rzeczy zaliczyć nie można. To przypadek ... Wtedy Kolumb chcąc go zawstydzić wziął z talerza jaje i kazał mu takowe tak ustawić, ażeby cieńszym końcem stało do góry. Próbował ów pan, próbowali i inni, lecz wszystko napróżno. Wreszcie gdy nikt tej sztuki dokazać nie mógł, wziął Kolumb jaje, położył je dosyć mocno na stół, tak iż skorupa końca grubszego się stłukła i jaje z łatwością stało końcem do góry. Zawstydzony przechwalca zamilkł. Ten wypadek właśnie przedstawia zamieszczona na str. 617 rycina.

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiastki moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

MAŁY ROBINSON
W PUSZCZY AMERYKAŃSKIEJ.

Ciąg dalszy.

X.

Dalsza podróż. — Popas w lesie. — Gniazdko kolibrów. — Mrówki sauby — Mrówkojad. — Drzewo mrówkowe

Rodzina osadnika bardzo serdecznie przyjęła Janka, było tam kilkoro dzieci w tym domu, a między nimi chłopiec w jego wieku. Gospodyni wyszukała ubranie tego chłopczyka, czystą koszulkę, spodnie i kurteczkę z żaglowego płótna i ustroiła w to Janka, który dotąd biedak był w stroju dzikiego człowieka, to jest nawpół nagi.

Chłopczyk zapomniał na chwilę o wszystkich swoich troskach, gdy ujrzał się ubrany, jak człowiek ucywilizowany. W nocy śniła mu się znowu Sosnówka i rodzice, którzy byli oboje zdrowi, weseli i witali go czule.

Gdy pan Wojciech przyszedł go zbudzić nazajutrz raniutko, aby mogli przejechać kawał drogi, nim słońce zacznie dopiekać, zerwał się raźno i był dobrej myśli, bo znów mu się zdawało, że każdy krok zbliżać go miał do ukochanych rodziców.

— Dobrą porę mamy do podróży — rzekł pan Wojciech, wsiadając na koń — jeszcze kilka tygodni upłynie, zanim się zaczną wielkie deszcze i dojedziemy do Panamaribo.

W gorących krajach niema takich pór roku jak w naszym umiarkowanym klimacie, ale jest w ciągu roku pora dłuższej suszy i pora nieustających deszczów.

— A jeżeli za późno przyjedziemy do Panamaribo? — rzekł Janek, posmutniawszy nagle — jeżeli rodzice odpłynęli już bezemnie do Europy, do Sosnówki....... — nie mógł mówić nic więcej, bo łzy go dławiły.

— W takim razie — rzekł pan Wojciech łagodnie — dłużej jeszcze będziesz musiał poczekać. I wtenczas jednak rąk nie opuścimy. W mieście znajdziemy ludzi, którzy nam w tem poradzą. Tam w wielkich miastach, mój chłopcze, są gazety, są telegrafy, oni już tam obmyślą sposoby odszukania twoich rodziców, choćby na drugim końcu świate. A możesz przecież być pewny, że przybędą natychmiast i z drugiego końca świata, jak tylko się dowiedzą, iż ten syn ukochany, którego mieli za straconego, żyje i czeka na nich. A więc, bądź dobrej myśli chłopaku.

Janek nie mógł być jednak bardzo dobrej myśli; przypomniał sobie, że biedna matka odjechała chora, a podczas podróży mogła gorzej zachorować. I to on temu wszystkiemu był winien! Jego nieroztropność, lekkomyślność i nieposłuszeństwo tyle cierpienia przyczyniły nieszczęśliwym rodzicom! Jakże gorzko chłopczyna wyrzucał to sobie. Jedna chwila nierozwagi pociągnęła za sobą tak okropne skutki! Pokusa trwała już tak długo, a jęszcze mogła potrwać dłużej.

Pan Wojciech wyruszał zawsze o świcie, a w godzinach południowych, w czasie największego upału, zatrzymywał się w cieniu drzew i konia puszczał na paszę. Janek siadał obok swojego opiekuna, posilali się obaj podróżnemi zapasami, rozmawiali lub drzemali.

Gdy zabrakło żywności, pan Wojciech upatrywał w lesie zwierzynę, a jak tylko ją upatrzył, już było po niej. Najczęściej zadawalniał się ptakami, ale raz napotkali jelenia, mieli z niego wyborną świeżą pieczeń i zapas na czas dłuższy. Pan Wojciech robił tak samo, jak Palma Wysmukła, krajał mięso na cienkie kawałki i suszył je nad płomieniem, a wówczas mogło się zachować bez zepsucia, jak wędlina.

Dla odmiany łowili także ryby w strumieniach, a owoców nie brakło im nigdy, bo wszędzie po lasach znajdywali to słodkie ananasy, to różne soczyste jagody, to ziarna do orzechów lub migdałów podobne.

Dnia pewnego, gdy stanęli właśnie na wypoczynek południowy, pan Wojciech usnął pod rozłożystem drzewem, Jankowi spać się nie chciało, więc usiadł w pobliżu, rozglądając się dokoła. Chłopczyna nigdy na krok nie oddalał się od swojego opiekuna, nie chciał już za nic w świecie poraz drugi narazić się na zabłąkanie w lesie.

Z początku zajmowała go para prześlicznych kolibrów, podlatująca z gałązki na gałązkę. Janek nie spuszczał ich z oczu i spostrzegł, jak jeden z nich, przeskakując szybko po gałęziach nizkiego krzaka, o dużych liściach, ukrył się zupełnie wśród tych liści i nie ukazał się więcej. Janek wstał i ostrożnie zbliżył się do krzaka, rozłożył gałązki, zajrzał, a wtem ptaszyna frunęła tak blizko niego, że go musnęła skrzydełkami po twarzy. Janek obaczył w tej chwili prześliczne, malutkie gniazdeczko, wyplecione misternie ze źdźbłek roślinnych, jak koszyczek głęboki i uczepione do dużego liścia. W gniazdeczku były dwa jajeczka nie większe od ziarnek grochu.

Janek nigdy w życiu nie wybierał gniazd ptasich i teraz nie przyszła mu nawet chętka do tego, przypatrzył się tylko jajeczkom, ale ich nie dotknął i oddalił się, a po chwili ujrzał ptaka powracającego na swoje miejsce do gniazdeczka.

Pan Wojciech spał ciągle smacznie, Janek usiadł sobie znowu tuż przy nim i zaglądał tu i owdzie, czy nie obaczy znów jakiego ładnego ptaszka. W tej chwili cisza była taka, że najlżejszy wietrzyk nie poruszył liści na drzewach. Tem więcej zadziwił się nasz Janek, gdy ujrzał na znacznej przestrzeni przed sobą liście, poruszające się na ziemi w najosobliwszy sposób. Już parę razy wspominaliśmy, że w lasach zwrotnikowych pełno zawsze opadających liści zaściela ziemię, ale zwykle leżą tam sobie spokojnie, jeśli ich wiatr nie rozrzuca.

Teraz jednak dziwny jakiś ruch powstał tam nie wiedzieć skąd. Wyglądało to zupełnie, jak gdyby każdy z tych listeczków był żywy i wędrował sobie prędziutko, a wszystkie dążyły w jednę stronę, jakby się zmówiły. Chwilami zdawało się, że ta masa liści płynęła, jak fala.

Janek nie mógł wytrzymać, tak go ten widok zaciekawił. Wstał więc i oglądając się co chwila, ażeby nie oddalić się zanadto i nie stracić z oczu śpiącego pana Wojciecha, zbliżył się do wędrujących listeczków. Widział już teraz najwyraźniej, że biegły wszystkie śpiesznie w jednę stronę. Janek patrzał ze zdumieniem na to niepojęte widowisko, zbliżał się ostrożnie, bo się trochę obawiał, aż w końcu dostrzegł, co to było; jeden listeczek, oddalony trochę od innych, przebiegł tuż koło niego, Janek dotknął go kijkiem i odkrył całą zagadkę. To ogromna gromada drobnych owadów przenosiła na grzbiecikach te liście; spostrzegł też Janek, że każdy wędrujący taki listeczek był obcięty okrągło, bardzo regularnie.

Zbudził się tymczasem pan Wojciech, a nie widząc Janka przy sobie, zerwał się niespokojnie, obaczył go jednak po chwili i wolnym krokiem za nim podążył.

— Niechno pan patrzy — rzekł Janek

— co to za dziwne stworzenia. Jakieś owadki, niby duże mrówki. I poco one te listeczki przenoszą, czy dla zabawki?

— Wątpię bardzo — odrzekł pan Wojciech — zwierzęta są czasem rozumniejsze od ludzi i nigdy nic nie robią dla próżnej zabawki, ale zawsze dla jakiegoś pożytku. To są mrówki sauby, znam je dobrze, widziałem już nieraz, jak wędrują po lasach ogromnemi chmarami, przenosząc stosy liści. A jak one to porządnie robią. Jeden oddział, jakby na komendę, włazi na drzewa, obcina równiuteńko liście i zrzuca je na ziemię, a druga gromada czeka tylko na to, każda mrówka chwyta liść i wędruje z nim do swego mrowiska.

— I na co im te liście? — spytał Janek.

— Albo ja wiem — mówił pan Wojciech — mówią, że one układają je warstwami wraz z ziemią, ażeby woda nie przeciekała do mrowiska. Inni znów utrzymują, że się żywią temi liśćmi.

— Oj, panie Wojciechu, jakiś zwierz siedzi na drzewie, uciekajmy — wołał Janek przestraszony i wskazywał na poblizkie drzewo.

— Oho! już ten żarłok poczuł mrówki i czatuje. Nie obawiaj się, to mrówkojad, on nam nic złego nie zrobi. Gdyby nie to, że zapatrzony na mrówki, uciekłby już przed nami.

Zwierzę, siedzące na drzewie, dziwnie i śmiesznie trochę wyglądało. Dość duże, jak lis, obrośnięte brunatnem futrem, w jaśniejsze pręgi, ogon miało ogromny, długi i puszysty, pyszczek nadzwyczajnie wydłużony, jak trąbka, uszy małe, niewidoczne. Mrówkojad wyciągał niekiedy długi swój język, cienki, jak sznureczek, widocznie ostrzył na coś bardzo smacznego apetyt.

— Już on teraz nie odstąpi od mrówek — mówił pan Wojciech, pójdzie w ślad za niemi aż do mrowiska, rozgrzebie je i dopiero będzie miał ucztę.

— Będzie je pożerał? — rzekł domyślny Janek.

— Z największym smakiem. Widzisz ten długi język? On go zapuszcza w mrowisko, a gdy mrówki obsiądą i przykleją się do niego, bo język ten jest lepki....

— Już wiem! — przerwał Janek — on chowa język i rozgryza mróweczki, fe!

— Wcale ich nie rozgryza, bo nie ma zębów, połyka je i pożera wybornie bez tego.

Niezmierne mnóstwo mrówek płynęło jeszcze długo z listeczkami, a Janek nie mógł oczu oderwać od tego osobliwego widoku.

— A to dopiero szkodniki! co to one liści napsuły — mówił pan Wojciech — będziemy właśnie jechali tamtędy, obaczysz, jakie to zniszczenie po nich zostało.

Niezbyt daleko napotkali rzeczywiście kilka drzew, zupełnie ogołoconych z liści; resztki mrówek, załatwiwszy się ze swoją robotą, spieszyły zawsze w tę samą stronę, zapewne do mrowiska.

— Aha, patrzcie je, co to za mądre bestyjniki — zawołał naraz pan Wojciech, zbliżając się do jakiegoś kolczastego drzewa o drobnych listkach — jak one dobrze wiedzą, że tu ukryty jest nieprzyjaciel. Ani tknęły mrówkowego drzewa, chociaż te okrągławe listeczki to jakby umyślnie dla nich przykrojone.

— A cóż to znów za mrówkowe drzewo, panie Wojciechu? — zapytał Janek zaciekawiony.

— Chodź, chodź, zobaczysz — rzekł pan Wojciech, zsiadając z konia i Janka zsadzając. Chłopczyk zbliżył się do drzewa i przypatrywał mu się uważnie. Wszystkie gałęzie najeżone były potężnemi kolcami, które tak wyglądały, jak malutkie rożki krowie, bo nawet po dwa razem osadzone

były przy sobie. Liście miały przy nasadzie małe, nabrzmiałe gałeczki, a gdzieniegdzie widać było na gałęziach ciecz lepką, sączącą się z tych gałeczek i kolców. Nic więcej nie widział nasz Janek i jeszcze nie mógł pojąć, dlaczego to drzewo nazywać się miało mrówkowem.

A wtem pan Wojciech pochwycił pień drzewa i mocno nim potrząsł. W tej samej chwili ze wszystkich kolców, przez drobne, niewidoczne otworki, zaczęło się wysypywać mnóstwo drobniuteńkich mróweczek i wszystko to biegało żwawo po gałęziach, kręcąc się na wszystkie strony.

— A co, już straż na stanowisku — mówił pan Wojciech. Oho! to czujna załoga, dobrze pilnuje drzewa i sauba, choć większa i silniejsza, nie śmie porwać się na twierdzę, tak wybornie strzeżoną. Te drobne mróweczki niezmiernie lubią słodką ciecz która wypełnia młode kolce tej akacyi, bo drzewo to jest gatunkiem akacyi. Starsze kolce nie mają już w sobie tego przysmaku, ale za to są wydrążone i mrówki mają w tych dziurkach bardzo wygodne mieszkanie, a sok wysysają z gałeczek. Wywdzięczając się drzewu za to, że je żywi, nie dopuszczają do niego nieprzyjaciela. Gdy sauba ogałaca wszystkie inne drzewa w pobliżu, mrówkowego nie dotknie, bo się boi załogi.

— Ale któż to wiedzieć może? — rzekł Janek — a może sauby nie lubią tych listeczków, bo czyżby one się obawiały mniejszych od siebie mrówek?

— O, już wierzaj mi, że tak jest — odrzekł pan Wojciech — ja nigdy na wiatr nie mówię. Opowiadał mi jeden osadnik, że posadził sobie przy domu taką mrókową akacyę, a sprowadził ją skądsiś zdaleka. W tej okolicy nie bylo nigdzie tego gatunku mrówek, więc się nie gnieździły w kolcach i drzewko nie miało pilnej straży. Za to żyło tam mnóstwo innych mrówek takich, co niszczą liście, a soku słodkiego nie pijają. Kolce były też zawsze nietknięte, ale gałązki ogołocone z liści.

Opowiadanie to niezmiernie zajęło Janka, przypatrzył się uważnie drzewku, potem wędrowcy puścili się w dalszą drogę.

Dokończenie nastąpi.

Przysłowia Chińczyków.

Pomyśl trzy razy, zanim co zrobisz, a nie będziesz żałował swych czynów.

W czasie pogody noś deszczochron.

Kop studnię, zanim mieć będziesz pragnienie.

Dzień jeden wart trzy, dla tego, kto każdą rzecz robi w swoim czasie.

Najpiękniejsze jutro nie wróci dnia poprzedniego.

Najprędzej wtedy błądzimy, gdy nam się zdaje, że znamy drogę, a sprawy nasze tem łatwiej upadają, im mniej widzimy w nich trudności.

Głupiec najwięcej wtedy się uwielbia, gdy zrobi głupstwo.

Ten jest największym kłamcą, kto najwięcej mówi o sobie.

Grzeczność jedna przyjaciół, szczerość zniechęca.

Do Polaków wstydzących się swej ojczystej mowy.

I wy się synami tej Polski mienicie?
Gdy się waszej mowy przed światem wstydzicie?
Nie znajdziecie nigdy serca spokojności,
Bo na waszych czołach piętno zdrady gości!

Pamiętajcie, odstępcy wiary narodowej,
Co nie chcecie słuchać dźwięku polskiej mowy,
W sądzie ostatecznym będzie policzona
Krzywda naszej polskiej mowie wyrządzona.

MYKITA.